All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI i Sp.
wydawcy.



Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 8go LIPCA 1897 ROKU. **Nr. 27.**

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter. Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 8 Lipca, Kiliana. Piątek 9 Lipca, Cyryla b. Sobota 10 Lipca, Rufina. Niedziela 11 Lipca, Piusa I. Poniedziałek 12 Lipca, Jana Gwal. Wtorek 13 Lipca, Eugeniusz. Sroda 14 Lipca, Bonawetury.

Na Niedzielę V po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Mateusza w rozdziale V.

W owym czasie rzekł Jezus do uczniów Swoich: Jeźli nie będzie obfitowała sprawiedliwość wasza więcej niż Doktorów zakonnych i Faryzeuszów, nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego. Słyszeliście, iż rzeczono jest starym: Nie będziesz zabijał, a ktoby zabił, będzie winien sądu. A Ja wam powiadam: Iż każdy, który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu. A ktoby rzekł bratu swemu: Raka! będzie winien rady. A ktoby rzekł: Głupcze! będzie winien ognia piekielnego. Jeźli tedy ofiarujesz dar twój do ołtarza, a tam wspomnisz, iż brat twój ma nieco przeciw tobie, zostaw tam dar twój przed ołtarzem, a idź pierwej zjednać się z bratem twoim, a tety przyszedłszy ofiarujesz dar twój.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

KRZYŻ NADWIŚLAŃSKI.

Powieść LEONA K....

Ciąg dalszy.

IV.

Stanisław Linowski udał się do pałacu — ręce skrzyżował na piersiach i chodził wszerz i wzdłuż pokoju — przyległy pokój temu, w którym się teraz znajdował, był niegdyś sypialnią kasztelana. — Młodzieniec już nieraz chciał się tam dostać, przyjrzeć się ścianom, wśród których spędził dziecinne lata, zobaczyć sprzęty, które miały dla niego tyle wspomnień — lecz dotąd wstrzymywały go drzwi zawsze na klucz zamknięte. Dzisiaj snać potrzebował bardziej niż kiedykolwiek wspomnienia dawne przywieść przed pamięć i zemstę z dawną mocą odżywić, gdyż całą siłą porwał za klamkę, pchnął kilka razy, aż zamek stary uległ jego mocy, drzwi się otwarły i młodzieniec postąpił na środek obszernej komnaty, której ściany poczerniałe, okna przysłonięte, przedstawiały posępny widok, kilka krzeseł wysokich skórzanych, parę szaf z księgami stało przy ścianach — widok wychodził daleko na rzekę. — Była to ta sama komnata, do której przed kilkoma laty przyniesiono skrwawione ciało kasztelana Linowskiego, w końcu stało jeszcze wysokie łoże czarno przykryte, na nim to złożono trupa. Stanisław przywiódł sobie na pamięć całą okropność tej chwili — długo patrzał dzikim wzrokiem po ścianach i sprzętach — przystąpił do łoża — gdyby nie zmrok wieczorny, byłby mógł dojrzeć jeszcze śladów krwi na kobiercu, którym było przykryte i później wlepił oczy w obraz jego ojca, co wisiał nad łożem i ponuro patrzał ku niemu; — opuścił głowę — — oparł się na krawędzi łoża, jakby chciał szukać rady czy pociechy.

Jutrzejszy ranek zastał go w tym samym pokoju — nie opuszczał go przez noc całą. — Ranne jesienne słońce tak blado oświecało nadwiślańskie niwy — i cały krajobraz wiejski widny z okien komnaty, miał barwę taką tęskną, posępną. — Stanisław przystąpił do okna, chcąc ochłodzić czoło palące bezsennością i gorączką. — Popatrzał na rzekę, na pola i sine pasma sosnowych lasów co kończyły widnokrąg — już od kilku chwil zostawał w tem zadumaniu, dopiero na odgłos kroków obrócił się do okna, ktoś nie zastawszy go w pierwszym pokoju, przestępował właśnie próg drugiego. Stanisław obejrzawszy się, ujrzał przed sobą pana Grzegorza.

Pan Grzegórz powiódł okiem po komnacie, a gdy wzrok jego zatrzymał się na łożu, to zadrżał jakby mimowolnie — lecz wkrótce wychodząc z chwilowego pomięszania, postąpił parę kroków i odezwał się do Stanisława.

— Panie Linowski..... pan Kazimierz wysyła mnie do pana....

— Pan Kazimierz?.... dobrze.... pan zapewne jesteś uwiadomiony o tem, co zaszło między nami.... Mnie tylko idzie o pośpiech, bobym nie chciał ani jednej chwili tu pozostać—wszak pojedynek może się odbyć zaraz?

— Panie Linowski.... czy pan rozważyłeś wszystko... czy pomyślałeś jakie nieszczęście sprowadzić może?....

— Mój panie — przerwał Stanisław — czy Kazimierz Jastrzębski przysłał pana z takiemi uwagami?

— O nie! ale do mnie należy jako do krewnego i przyjaciela domu Jastrzębskiego zwrócić uwagę twoją Panie Linowski, że nie powinienbyś się bić z człowiekiem, który cię był jako brata pokochał, — że to okropnie jest pogrążyć całą rodzinę w żałobie.

— To wszystko nie zmieni mego postanowienia — całą noc dzisiejszą przepędziłem w tym pokoju — przy tem łożu, na którem jeszcze ślady krwi mojego ojca — (p. Grzegórz się wzdrygnął) nie dziw się pan więc, że moje serce nie ze wszystkiem usposobione do przebaczenia i że w mą duszę wstąpiła cała nienawiść przeciw zabójcy.

— Ale panie Linowski — zawołał starzec prawie błagalnym głosem — przysięgam ci, że się mylisz okropnie — Jastrzębski nie winien zbrodni, o którą go posądzasz.

— Masz pan na to dowody?

— Dowody — wyrzekł cichym głosem pan Grzegórz i wlepił oczy w podłogę; Stanisław tupnął nogą z niecierpliwością.

— Wszak pan tu przyszedłeś oznaczyć warunki pojedynku, nieprawda? ja gotów jestem natychmiast, o miejsce mniejsza, ale jeśli Kazimierzowi wszystko jedno, to pojedynek może się odbyć pod czarnym krzyżem — przynieście panowie z sobą pistolety — staniemy o pięć kroków — bo jeden z nas musi zostać koniecznie.

— Panie Linowski, to będzie morderstwo!....

— Morderstwo!.... czy pan Kazimierz oznaczył inne warunki?...

Linowski obrócił się ku oknu dając poznać Grzegorzowi, że nie ma więcej nic do powiedzenia. — Starzec jednak nie odchodził.

— Panie Linowski, mam jeszcze coś do pana — wyrzekł po chwili.

— Co takiego?

— Parę słów.... od panny Maryi.

— Od Maryi.... więc ona wie także?

— Nie można było ukryć przed kobietami. — Biedna matka i panna Marya są w rozpaczy — od wczoraj pilnują Kazimierza i nie pozwalają mu na krok opuścić pokoju.

Stanisław porwał ukochane pismo — wyrazy które skreśliła młoda dziewica, musiały być bardzo wzruszające, bo w miarę, jak je przebiegał, twarz jego przybierała wy-

raz tkliwszy, łagodniejszy. — Łzy stanęły w jego oczach, a papier wypadł mu z ręki.

— Pan płaczesz — zawołał Grzegórz, korzystając z tego wzruszenia — a cóż dopiero, gdybyś widział rozpacz tej matki, łzy tej biednej panny Maryi — o! serce się rozdziera patrząc na to wszystko.

Stanisław już zdawał się wahać — postąpił parę kroków ku Grzegorzowi — w tem krok jego zatrzymał się na łożu — później utkwił na portrecie kasztelana i ten widok spędził wszelką łagodność, a uzbroił go nową mocą, gdyż po chwili wyrzekł stanowczym spokojnym głosem:

— Powiedz pan Kazimierzowi, że za godzinę czekam u Czarnego Krzyża.

Pan Grzegórz w milczeniu, z głową spuszczoną, zabierał się do wyjścia, we drzwiach zatrzymał się jednak.

— A pannie Maryi co mam powiedzieć — zapytał, próg przestępując.

Stanisław załamał ręce:

— Pannie Maryi powiedz pan... że ja chcę... umrzeć!...

V.

W pół godziny potem Stanislaw był na drodze do Czarnego krzyża, który obrał na miejsce spotkania. Mgła ranna rzedniała nad rzeką i nad ciemnemi zaroślami, co śród piasków żółtych, szeroko zaległy jej brzegi. Młodzieniec tą razą nie oglądał się koło siebie, lecz przyspieszonym krokiem dążył na miejsce mającego się odbyć pojedynku, na pół drogi kiedy właśnie miał się skręcać ku rzece, ujrzał tuż przed sobą starego Jastrzębskiego, który trzymając broń w ręku, z twarzą spokojną choć pobladłą, zdawał się oczekiwać na niego.

— Nie pana.... spodziewałem się zastać w tem miejscu — zawołał Linowski zdziwiony.

— Wiem o tem — lecz syn mój nie przyjdzie — bo w tej chwili jest on zamknięty w swoim pokoju z mego polecenia — będzie daleko słuszniej, że ja go zastąpię, bo zresztą ta cała sprawa mnie samego tylko się dotyczy. — Nie prawdaż panie Linowski? — Wszak do mego syna nie masz osobistego powodu nienawiści — przyczyną wszystkiego jest zabójstwo popełnione w tem miejscu na twoim ojcu, które mnie przypisujesz — ze mną więc będziesz miał do czynienia — tembardziej, że ja z mej strony mam także prawo żądać zadosyćuczynienia od ciebie — za potwarz okropną, którą rzucasz na mnie — syn mój jest jeszcze młody, ma być kiedyś podporą rodziny — nie może tak bez celu wystawić swojego życia. — Jakże — przystajesz pan?

— Chodźmy — zawołał Stanisław, a twarz jego prawie obłąkana przybrała odcień chwilowej radości, na samą myśl tę, że bić się będzie z człowiekiem, którego uważał za zabójcę swego ojca. — Czarny krzyż obrałem na miejsce pojedynku — rzekł po chwili. Jastrzębski kiwnął głową na znak przyzwolenia i oba postępowali obok siebie w milczeniu, w twarzy młodzieńca malował się zamęt myśli i walka najsprzeczniejszych uczuć; u starca pokój był wyryty na czole i postanowienie mocne, niezachwiane. Ta surowa spokojność starca dziwnie na młodym Linowskim robiła wrażenie, po raz pierwszy powątpiewanie wkradło się do jego duszy, a z niem myśl ta, że go pozór i wieści fałszywe mylić mogą. Lecz właśnie kończyła się drożyna i krzyż już wyraźnie wyglądał śród brzóz płaczących. Kiedy wyszli z zarośli, Stanislaw ujrzał pod krzyżem kobietę, co siedziała z twarzą w dłoniach ukrytą, a przy niej młoda dziewica klęczała z oczami w niebo wzniesionemi z wyrazem nadziei i wiary.

— Marya tutaj! — zawołał Stanisław — poznając dziewicę — ach! to umyślnie przygotowane, aby przeszkodzić pojedyn-

kowi — dodał, obracając się do Jastrzębskiego.

— Wszak pan sam obrałeś to miejsce — odpowiedział starzec. Stanisław załamał ręce i oparł się o brzozę.

Tymczasem Marya rzuciła się w objęcia ojca, spostrzegła broń w jego ręku i krzyknęła boleśnie:

— Panie Linowski — zawołała, zwracając się do młodzieńca — pamiętasz, co wyrzekłeś mi — obiecałeś wszystko puścić w niepamięć — gdzie są dziś twoje obietnice?

— Panie Linowski, wyrzekła matka wzruszonym głosem — co panu zawiniliśmy wszyscy — i wyciągała ku niemu ręce. Łza z oczu młodzieńca spadłą na rękę staruszki.

— O płaczesz — twoje serce jest dobre, kiedy się wzruszyło na łzy biednej matki.

Stanisław patrzał tylko na Maryą. Z jej oczu łzawych, co się zwracały ku niemu, przebijało się najwyższe cierpienie, usta na w pół otwarte skłaniały się do prośby. Stanisław nie był w stanie oprzeć się tym łzom kobiecym.

— Chcę o wszystkiem zapomnieć.... oddalam się.... przysięgam, nie wrócę nigdy w te strony, gdziem cierpiał tyle — dodał cichym głosem patrząc w twarz Maryi. Rzucił jej jakby ostatnie pożegnalne spojrzenie i miał już się oddalić, lecz w tej chwili Kazimierz biegnąc w stronę Czarnego krzyża, wołał z daleka na niego.

— Zaczekaj.... zatrzymaj się cokolwiek — spóźniłem się trochę, ale ci służę natychmiast.

— Kazimierzu! — zawołał stary Jastrzębski — zabroniłem ci wychodzić z pokoju.

— Mój ojcze — sprawa ta jest tego rodzaju, że pierwszy raz musiałem zapomnieć o posłuszeństwie synowskiem, drzwi były zamknięte, wyskoczyłem oknem, aby przybiedz tutaj. — Lecz co tu robi matka i Marynia — zawołał, postrzegając kobiety — kto miał serce powiedzieć im....

— Dowiedziałyśmy się od pana Grzegorza — wyrzekła Marynia.

— Nie rozumiem jakie powody mógł mieć Grzegórz, powiadając wam o tem — ż jego przyczyny — mówił Kazimierz, zbliżając się do Linowskiego — pojedynek zaraz odbyć się nie może, lecz....

— Pojedynku między nami — przerwał Stanisław — wcale nie będzie — przyrzekłem zapomnieć o wszystkiem..... przebaczyć.

— Nie przyjmujemy przebaczenia — wkrótce, dodał cichym głosem — odprowadzę kobiety — spodziewam się, że cię tu zastanę.

Stanisław jakby złamany boleścią, stał nieruchomy pod drzewem. W tej chwili nowa osoba zjawiła się niespodzianie. Był to pan Grzegórz z włosami w nieładzie, bez czapki, tak blady, zmieniony, że wszyscy zatrzymali się z podziwieniem na jego widok.

— Na miłość Bozką wstrzymajcie się, słuchajcie.... wołał starzec, załamując ręce. Wstrzymał się. Znać z trudnością przychodziło mu mówić.... — Panie Linowski — rzekł po chwili, stojąc przed młodzieńcem — najniesłuszniej obwiniasz tego człowieka o zbrodnią, której nie popełnił — na Boga ci przysięgam, on jej nie winien. — Zabójcą jestem ja — i jakby do wyznania tego wyczerpał wszystkie siły, spuścił głowę na piersi i przestał mówić na chwilę, wkrótce zdobył się na słowa, urywając często opowiadanie swoje.

— Ciężko mi zrobić to wyznanie, lecz potrzebne ono dla spokojności dwóch rodzin. — Bóg mnie już i tak srogo karał za to nieumyślne zabójstwo, bo niebo mi świadkiem, nie chciałem go popełnić.... Ośmnaście lat temu mieszkałem obok Wierzbnej

z Jastrzębskim — pan kasztelan traktował z góry nas obu, ale nigdy przecież myśl zemsty nie powstała w mem sercu, choć cierpiałem nąd tem, ile razy Linowski nie szanował praw i własności, — nadszedł wreszcie ów nieszczęśliwy dzień polowania.... widziałem kasztelana wychodzącego z pałacu.... bom sam był niedaleko ze strzelbą, widziałem jak szedł na tę tu łąkę, którą niedawno właśnie przysądzono Jastrzębskiemu.... chciałem się przekonać, czy kasztelan ze zwyczajną sobie zuchwałością, ośmieli się polować na gruncie, który do niego nie należał i postępowałem za nim zdaleka... w tem zając zerwał mu się prawie pod nogami...... kasztelan wziął na strzał, mnie przyszła do głowy myśl nieszczęśliwa, żeby mu zwierzynę ubić pod strzałem, strzelba była nabita loftkami.... zmierzyłem... piekło kierowało moim strzałem..... usłyszałem krzyk — kasztelan leżał już zabity — pobiegłem do niego...... nie żył — com wtedy robił, nie wiem — pamiętam tylko, żem się w nocy dostał do domu, rzucił na łoże i parę dni leżał w gorączce. — Jastrzębski przyszedł do mnie, opowiadał jak będąc nad rzeką usłyszał strzał i zastał kasztelana zabitego. — Ja nie miałem mocy wyznać mu prawdy — w okolicy wiedziano, że miałem trochę żalu do kasztelana, możeby nikt nie był uwierzył, że zabójstwo było mimowolne. — Lecz i tak ciężko ukarany byłem, pokój duszy i myśl spokojna zniknęły dla mnie, później cierpiałem tem bardziej, gdy z mojej przyczyny człowiek godny, ojciec rodziny potwarzą obrzucony został.

Starzec kończył ze łzami w oczach—po chwili kląkł i głowę zniżył do kamienia grobowego, jakby chciał błagać o przebaczenie tego, który tu zginął.

Stanisław Linowski z najrozmaitszem wzruszeniem słuchał tego opowiadania, a gdy starzec już skończył i wszyscy pogrążyli się w dumaniu, on ukląkł przed starym Jastrzębskim.

— Teraz ja — zawołał — przebaczenia błagam.

— Biedny Stanisławie, z serca ci przebaczam — tyś cierpiał tyle — miałem boleść nad tobą wtedy nawet, kiedyś nastawał na moje życie.

Kazimierz rzucił mu się przyjacielsko w objęcia — a Marya podawała mu rękę, którą on pochwycił z niebiańską radością. — I na twarzach wszystkich, cierpieniem niedawno okrytych, zabłysło szczęście i zapomnienie wszystkiego — tylko Grzegórz został sam przy krzyżu smutny i ponury.

W miesiąc potem nadszedł dzień 29 listopada. — Stanisław Linowski od Maryi, którą nazywał już narzeczoną, Kazimierz od rodziców, którym był podporą, pobiegli w szeregi narodowe; oba walczyli razem, dzieląc trudy wspólne.

W walce pod Ostrołęką, co była najkrwawszą sceną bolesnego dramatu, obaj młodzieńcy walczyli z rozpaczą na czele małego oddziału — piechota moskiewska parła ze wszystkich stron. — Stanisław, który już ranę w tym dniu odebrał, rzucił się naprzód, chcąc podnieść zwątlałą odwagę i piersi jego napotkały bagnety nieprzyjacielskie, w tem stary jakiś wiarus porwał jego konia i w bok odciągnął, własnych piersi nadstawiając. Kiedy oddział polski przyszedł na odsiecz, wiarus upadł przeszyty kilku pchnięciami. Stanisław rzucił się ratować swego wybawcę i schyliwszy się ku jego twarzy, poznał w umierającym Grzegorza.

* * *

W pięknym wiosennym poranku zieleniły się powiślańskie brzegi — i szumiały topole jak dawniej nowem pokryte liściem i Wisła płynęła cicha, spokojna, a nie znać na niej było krwi, co niedawno zczerwieniła jej wody i nie widać było trupów, które nie-

dawno przyjęła w. swoje łono — wszystko było jak przed tem — a jednak czegoś smutniej, rzewniej, jakby powietrze było cięższe.... nie swoje.

Przed domem w Wierzbnie siedział Stanisław blady zmieniony, od ran, które poniósł — do niego się tuli Marya, pieści i i szczebioce.

— Mój Stasiu, mój drogi — wszak ci lepiej? — wyzdrowiejesz i będziemy szczęśliwi — nieprawda?

— O! życie z tobą byłoby mi rajem — mówił Stanisław — gdyby mogło być zupełne szczęście w domu, kiedy go nie ma w Ojczyźnie.

Żegnam cię!...

Żegnam cię, luby kraju rodzinny!
Lecz nie na wieki cię rzucę.
Choć legnę w grobie na ziemi innej,
Duchem do ciebie powrócę.

Ojcze i matko, bywajcie zdrowi!
Żegnam was bracia kochani!
Niech wam co ranek nadzieja powie,
Że wkrótce wrócą wygnani.

Bywaj mi zdrowy, Ludzie kochany,
Śpiący, lecz czysty, niewinny;
Inny lud, inny na brzegach Sekwany,
Nad Elbą, Renem, lud inny.

Żegnam was, moje góry ojczyste,
Cicha dolina Ojcowa;
Was błonia, bory, Wisły wody czyste,
I lube mury Krakowa.

Ach! gdy co wieczór na niebo spojrzę,
Widzę, — o widzę wasz obraz żywy —
Na niebie zamiast błękitów dojrzę
Ojczyste bory, góry i niwy!

Ot Wisła płynie, Kraków i sioła
W jej przeglądają się fali, —
Trzy mogił za nią, — pole do koła, —
Karpaty mglą się w oddali.

Oh! do was tak jak do nieba daleko, —
Lecz kiedyś pośród was stanę;
Na twoim brzegu, sławiańska rzeko,
Zginę lub wolnym zostanę.

Może niedługo, bo ja wiem i wierzę,
Że Bóg wszechmocny, naród nieśmiertelny;
Z Boga moc mają wolności rycerze,
Tysiąc państw zburzy jeden naród dzielny.

Jeźli wprzód obca ziemia zagrzebie
Me biedne ciało tułacze,
To duch mój, Polsko, poleci nad ciebie,
Kraj mój kochany zobaczę.

I tam bujając nad jego niwy,
Jak duchów nadziemskich cienie,
Zobaczę kiedyś obraz nieba żywy;
Zobaczę Polski wskrzeszenie.

A wiatr powieje może z Zachodu,
I moje prochy zaniesie
Na błonia, w których biegałem za młodu, —
Po polach ojczystych rozniesie.

Aniołowie Pańscy wspomagają nabożnych do Przenajświętszego Sakramentu.

Pan Bóg poszle Anioła swego, który będzie przewodnikiem dróg twoich. (Gen. XXIV, 40).

Święci Aniołowie stojący przed tronem Króla Niebieskiego, cześć oddają również Panu Jezusowi ukrytemu w przenajświętszym Sakramencie i z miłością spełniają Jego rozkazy.

Książę Maksymilian, późniejszy cesarz Austryacki, w młodości swej lubił bardzo polowanie. Pewnego dnia gdy w Tyrolu w górach Insprucku pędzi po urwiskach za sarną skaczącą ze skały na skałę, nagle noga mu chybia, książe upada i toczy się z góry w przepaść głęboką. Pozbawiony wszelkiego ratunku, nad głową widzi tylko Alpy śniegiem pokryte, około siebie nagie piętrzące się skały, pod nogami bezdenną przepaść, nad którą zawisł; nieszczęśliwy młodzieniec nie mogąc sobie zaradzić, poczyna wołać z całej siły, w nadziei, że towarzysze jego lub pasterze okoliczni usłyszą.... wszakże

napróżno; głos jego ginie w jaskini. Cały dzień i noc tak przepędził bez spoczynku, bez posiłku, w obawie dzikich zwierząt i ogromnych wężów, jakie się w tych jamach ukrywają—w oczekiwaniu niechybnej śmierci....

Tymczasem słudzy jego i przyjaciele wszędzie go szukają, rozesłano mnóstwo wieśniaków, góralów, którym obiecano piękną nagrodę za wynalezienie młodego księcia.... gdy oto, drugiego dnia przypadkiem jeden z góralów słyszy jakby jęk z rozdołu wychodzący; nachyla się, pogląda w przepaść.... i na jednym z odłamów skalnych postrzega na wpół żywego Maksymiliana. Woła nań, — głos ten jakby z grobu wzbudza biednego księcia, który się zrywa na nogi, poznaje wybawiciela, prosi aby do niego co prędzej przyszedł....... ale w tem właśnie cała trudność. Góral probuje z tej i z owej strony i nigdzie nie znajduje miejsca przystępnego dla stopy ludzkiej. Bieży oznajmić swym towarzyszom........ wszyscy przemyślają nad sposobami wydobycia nieszczęsnej ofiary, ale napróżno. Najłatwiej byłoby za pomocą sznurów, lecz wyciągając ciężar, głowa księcia roztrzaskałaby się na szpiczastych kamieniach... któż zdoła wyrazić boleść wszystkich przyjaciół biednego młodzieńca, widząc go w tak okropnem położeniu i nie mogąc go ratować.....

Drugi dzień upływa na próżnych żalach. Maksymilian czuje niknące swe siły, śmierć straszliwa staje mu w oczach...... chce przynajmniej do niej się przygotować.. a z głębi serca zwracając się do Boga, żebrze miłosierdzia Jego.

— Niech tu przyniosą Przenajświętszy Sakrament, żebym Go widział! woła z boleścią.

Spełniają natychmiast życzenia pobożnego księcia; proboszcz z bliskiego kościoła przynosi w Monstrancyi Najświętszy Sakrament, stawi Go na szczycie skały.... Maksymilian upada na kolana, z pokorą oddaje pokłon Bogu ukrytemu pod zasłoną chleba, duszę swą wylewa u stóp Jezusa błagając o łaskę szczęśliwej śmierci, jeżeli nie godzien ocalenia życia... W tem słyszy jakiś szelest za sobą, obejrzy się i ujrzy młodzieńca w ubiorze zwykłych górali, który z dziwną łatwością odwalając kamienie toruje sobie drogę. Ten biorąc księcia za rękę — nie bój się — rzecze mu — Bóg królujący na Niebie a ukryty w Sakramencie, usłyszał błagania twoje — przysyła ci ratunek.... śmiało pójdź zamną!

Wnetże wyprowadza go z przepaści, stawi na błoniach i znika niepostrzeżony. Maksymilian w uniesieniu wdzięczności głośno wychwala Boga wśród radosnych okrzyków zebranych tłumów...... z tysiąca piersi wyrywa się dziękczynny hymn ,,Te Deum!''

Cudownego wybawiciela, pomimo wszelkich poszukiwań nigdzie nie odkryto; nikt go nie znał, nikt go nie widział.... i do dziś dnia pozostało w kraju przekonanie, że to był jeden z Aniołów oddających pokłon Panu Jezusowi w Hostyi utajonemu.

Za to dobrodziejstwo i za wiele innych, panujący dom Austryacki, odznacza się szczególnem nabożeństwem do Przenajświęts ego Sakramentu.

Dla uwiecznienia pamiątki cudownego wybawienia Maksymiliana, na szczycie góry gdzie był Przenajświętszy Sakrament, wzniesiono wielką figurę Chrystusa Pana, aby zdaleka przypominała podróżnym, że mamy nad sobą Ojca pełnego miłosierdzia, który czuwa nad dziećmi swemi.

Jak kończy krzywoprzysięzca.

— Gdy budowano kolej, tak mi opowiadał mój proboszcz, przyszli różni ludzie w nasze strony, dobrzy i źli; większa część

była złych. Pomiędzy robotnikami byli ludzie niebezpieczni. Jako proboszcz, mogłem tylko moich parafian od złych wpływów zachować; wszelkie starania by tych zdziczałych ludzi na dobrą drogę naprowadzić, odtrącali przekleństwami i szyderstwem. Razu pewnego rozeszła się pogłoska po wsi, że przy rozsadzaniu skały stało się nieszczęście; odłamki ze skały wyrwały jednemu robotnikowi całą niższą część twarzy — powiadano, że umarł. Ale ta ostatnia pogłoska nie sprawdziła się. Skaleczenie nie było śmiertelne; spodziewano się go wyratować. Po ośmiu dniach zawezwano mnie do skaleczonego. Jakiż okropny widok przedstawił się moim oczom! — W nędznej komorze leżał na słomie, kilku łachmanami odziany, człowiek ów nieszczęśliwy. Już wiele nędzy widziałem, ale takiej jeszcze nigdy.

Chory patrzał oczyma w słup obróconemi na powałę; usiadłem obok jego łoża i modliłem się. W pół godziny, gdym chciał odchodzić, spojrzał na mnie i gestami prosił, abym usiadł. Ucieszyłem się, ale radość moja zmięszała się ze smutkiem, gdym się dowiedział, że mu brakuje ufności w miłosierdzie Boże. Po ośmiu dniach chciał chory ze mną się widzieć i oświadczył mi, że się chce spowiadać; ale przed spowiedzią opowiedział mi, kim jest i jaka była przyczyna jego cierpienia.

Nazywałem się tutaj Antoni M., ale właściwie nazywam się B. B. Zataiłem moje właściwe nazwisko, bom chciał ukryć swą hańbę — ja krzywo przysiągłem!

Z tych słów poznałem, co mu dolega. Dodałem mu otuchy, że Bóg mu przebaczy, a on tak dalej mówił:

— Jam jest tym gospodarzem, który w ósmym domu na drodze z L. do N. mieszkałem. Tam wytoczyłem niesłuszny proces memu sąsiadowi o rzecz, która i 10 talarów nie była warta. Upór, zazdrość i łakomstwo tak mnie zaślepiły, żem postanowił krzywo przysiądz, choć wiedziałem, że obciążę swe sumienie; przewidywałem mą nędzę, a jednak w nią się rzuciłem.

W nocy przed terminem zesłał mi Pan Bóg dziwny sen. Widziałem siebie i sąsiada, jakeśmy szli do sądu; po drodze przyłączył się do nas mąż z wejrzeniem poważnem i przedstawił mi surowość kar doczesnych i wiecznych.

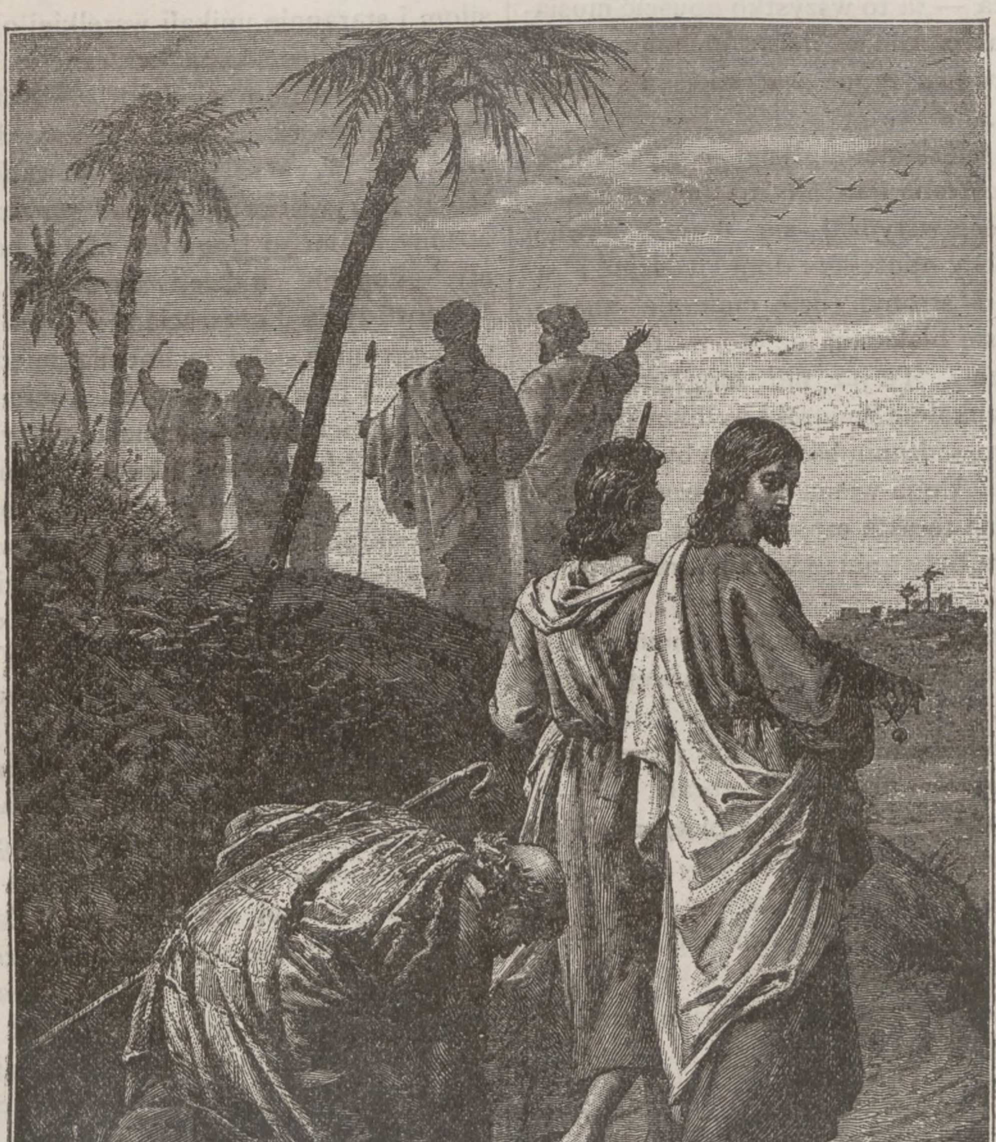
Zbudziłem się. Nie, nie będę przysięgał krzywo — pomyślałem. Lecz jakby niewidzialną, złą siłą porwany, poszedłem ku domowi sąsiada — ujrzałem, jak jest piękny — i zazdrość nie dała mi dalej myśleć.

Poszedłem do sądu i przysiągłem krzywo. Wygrałem proces — ale od tej chwili sumienie dawniej uśpione, nie dało mi spokoju; jak robak, gryzło mnie wewnątrz, dzień i noc wołając:

— Krzywo przysiągłeś, jam jest świadkiem — ja cię oskarżę!

Daremnie starałem się rozerwać, w pośród wesołych towarzystw, wewnętrzny głos przygłuszyć. Ale znów nastały chwile samotności, ciche noce, a z niemi wyrzuty sumienia, które spokój i sen odpędzały. Ileż nocy musiałem bezsennie spędzić! Spać nie mogłem, bo wiecznie mnie dręczyła myśl o krzywoprzysięstwie. I nikomu nie mogłem serca mego otworzyć, u nikogo pociechy i współczucia szukać; musiałem ukryć wewnętrzne katusze — ale one i na obliczu mojem się odbiły. Wszystko mnie gniewało. Zdrowie nawet straciłem. Nie byłem w stanie prowadzić gospodarstwa, dobrobyt nikł i coraz lepiej i jaśniej widziałem, że przekleństwo Boże ciąży nademną.

Znajomy domyślał się tego; odsuwali się więc odemnie i dali mi uczuć swoją pogardę. Wreszcie wydało się że jestem krzywoprzysięzcą; wsadzono mnie do więzienia. Żona moja milcząc, spoglądała na mnie, gdy mnie prowadzono; zgryzota prawie ją do



Legenda o trzech wiśniach. Patrz str. 447.

grobu wtrąciła. Patrzały dzieci na niegodnego ojca — ja to wszystko opuścić musiałèm; zostałem sam ze złem sumieniem i z tą myślą okropną, że już wszystko dla mnie przepadło.

Czas więzienia upłynął — wyszedłem; ale wszyscy mną gardzili, nikt mi nie ufał — żona i dzieci wstydzili się mnie. Pewnej ciemnej nocy opuściłem dom i rodzinę i udałem się w strony, gdzie mnie nie znano. Sześć lat się błąkałem, aż oto w te strony przyszedłem. Tu już nie mogłem znieść życia. Szukałem śmierci i byłbym ją znalazł przy rozsadzeniu skały, gdyby Bóg był dopuścił. Ale ja wiem, że wpierw musiały być ukarane te usta moje i język i prawa ręka, które były narzędziami krzywoprzysięztwa!

Tak mnie Bóg ukarał na ziemi — ale cóż dopiero czeka mnie w straszliwej przyszłości!....

Tu umilkł chory, a jam ani słowa wyrzec nie mógł. Litość mnie zebrała.

— Boże, przebacz mu w wieczności — westchnąłem.

I Bóg przebaczył. Dał mu łaskę ze skruchą się wyspowiadać i przyjąć Wijatyk na drogę wieczności.

Tak przez wyznanie i straszne cierpienia, przebłagał Majestat Boży!

Historya Kościoła świętego.

Ciąg dalszy.

Męczeństwo chrześcian w pierwszych wiekach.

Ustawiczna i gorąca modlitwa, praca nad własnem udoskonaleniem, a do tego miłość wzajemna; oto cechy pierwszych chrześcian, którzy całe dnie nieraz pędząc na miłosiernych uczynkach względem bliźnich, nawet względem pogan wzbudzali wszystkich w podziw i zdumienie. Jakkolwiek silnie ugruntowani w cnotach nie ufali własnym siłom i starannie unikali wszelkiej okazyi do grzechu, a więc świata ówczesnego, jego zabaw i uciech; bo wiedzieli, że te tylko do grzechu prowadzą. Jakiż piękny dają nam przez to przykład do naśladowania, nam, którzy rozrywki światowe nad wszystko przenosimy i samego Boga im nieraz poświęcamy. Poganie widzieli bardzo dobrze tę świętość życia u chrześcian, widzieli tę przepaść ogromną, jaka zachodziła między obyczajnością jednych i drugich, a mimo to nie mieli dia nich innego uczucia jak tylko nienawiść. Zdawało się jakoby własna złość odbijająca tem bardziej od cnót pobudzała ich do okrucieństw dla wyznawców nowej wiary, to też starali się wszystkimi siłami wygubić zwolenników Chrystusa, tak by nie został najmniejszy ślad po nich. W walce tej żydzi i poganie podali sobie wzajemnie ręce i jedni drugich starali się ubiedz w prześladowaniu. Ci niewdzięczni potomkowie Jakóba nietylko że odrzucili Messyasza i okrutnie Go umęczyli, ale zwrócili się ku Jego wyznawcom, by im ten sam los zgotować, jaki spotkał ich Mistrza. Zaraz na pierwszą wieść, że apostołowie rozeszli się po świecie dla głoszenia ewangelii, wytężyli wszystkie swe siły, by ich zniesławić i w powszechną podać pogardę, porozsyłali w tym celu listy przedstawiając tych głosicieli słowa Bożego jako ludzi nie mających żadnej wiary, dopuszczających się przelicznych zbrodni i gwałtów, szerzących fałsz i kłamstwo. Cel powiódł im się może bardziej, niż się go spodziewali, bo na całem terytoryum państwa rzymskiego wytworzyła się o chrześcianach okropna opinia i tak się głęboko w umysły zakorzeniła, że jeszcze po 200 przeszło latach przedstawiano ich sobie jako potajemnych zbrodniarzy. Doszło nawet do tego, że sama nazwa chrześcian znaczyła tyle co zbrodniarz i wystarczała do osądzenia na śmierć. W tej strasznej dla Kościoła

chwili, Bóg ani na chwilę nie spuścił oka z nieszczęśliwych wiernych i zasłał im na pomoc znakomitych mężów na obrońców. Ci piórem i słowem żywem walczyli z wrogami, lecz niestety brutalna siła nie pozwolała im nieraz na niewinną tylko obronę, potępiając z góry wszystko co było z imieniem Chrystusa złączone. Okrutny Nero pod pozorem, że chrześcianie spalili Rzym, rozpoczął prześladowanie straszne, na którego przedstawienie słów brakuje, tysiące niewinnych ofiar pozbawił życia za to jedynie, że byli chrześcianami, bo im żadnej innej winy nie dowiedziono, po nim prześladował Dyoklecyan i Domicyan i to z takiem okrucieństwem, o jakiem świat dotąd nie słyszał, a w IV wieku Wandalowie z dzikością prawdziwie barbarzyńską wycinali w pień wszystko co się nazywało katolickiem. Historya nazwała te niewinne ofiary męczennikami, co po grecku brzmiało martyres, tj. tyle co świadkowie. I słusznie, bo przez śmierć świadczyli oni najwymowniej, że wiara Chrystusa była wiarą prawdziwie z nieba pochodzącą, wiarą boską. Spełniły się tu przepowiednie Zbawiciela naszego, który częstokroć mówił apostołom, że będą prześladowani dla imienia Jego i ztąd nawet Tertulian sądził, że wiara chrześciańska obowiązuje do męczeństwa. Dziesięć było ogólnych prześladowań, ogólnych mówię, bo prześladowanie powolne, ale nie tak gwałtowne trwało wciąż przez cztery wieki, a mimo to religia ta nie wygasła, ale coraz głębiej zapuszczała korzenie i ilu miała zwolenników zaświadczy najlepiej fakt ten, że w samym Lugdunie zginęło od miecza katowskiego 19,000 chrześcian, a Dyoklecyan i Maksymilian chlubili się, że oni tylu ich wygubili, że się już z pewnością nigdy nie podniosą. Już sama śmierć dobrowolna tylu tysięcy ludzi świadczyła o prawdziwości wiary, za którą ginęli, bo niepodobna przypuścić, żeby ktoś za sprawę nie bardzo pewną życie narażał, a cóż dopiero mówić o niezliczonych tłumach, do tego inne jeszcze okoliczności, jak n. p. odwaga niezwykła u płci słabej, nawet u dzieci niedorosłych, dalej odpowiedzi najmądrzejsze, jakie słyszano od dzieci małych, miłość ku tym, którzy życie im odbierali, to wszystko wskazywało palec Boży, że sam Bóg opiekuje się tą wiarą. Zdarzało się, że i poganie wzruszeni przyjmowali chrzest i chętnie potem w obronie prawdy śmierć ponosili.

Opisy tych mąk okropnych przechowały się nam acz niedokładnie w aktach męczeńskich, które spisano dawniej na podstawie różnych archiwów, rysunków, narzędzi morderczych, które się zachowały i malowideł. Dziś stanowi ta książka dla nas drogocenny skarb, bo jest dla nas najlepszą wskazówką jak mamy cierpienia a nawet śmierć w obronie praw boskich ponosić. Ta sama cześć, jaką mamy dla tych aktów, dostała się w udziale i męczennikom stawianym nieraz na równi ze świętymi, dla tego to Manichejczyk Faustus zarzucał Kościołowi, że zamiast posągów i bałwanów pogańskich czci męczenników. Odpowiedź na ów zarzut dał już św. Augustyn, gdy powiedział, że przez cześć tychże ludzi czcimy Boga, który ich do życia powołał i taką świętością obdarzył, a więc że ta chwała, choć nie bezpośrednio, zmierza do Boga jako Stwórcy człowieka i całego świata.

Dokończenie nastąpi.

Wartość prawdziwa człowieka
Nie objawia się, kędy wir panuje światowy,
W samotności kto go odszuka,
Zdolen poznać czy żywot jego wzorowy.

* * *

Nie ten ci przyjacielem prawdziwym,
Co śród pogody ci sprzyja,
Lecz kto śród burz się okaże życzliwym,
W on czas cię nie omija.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

Patrz, oto stoję przede drzwiami i pukam.

Uwagi i nauki dla kochanych dziatek przystępujących do pierwszej Komunii św.

Rycina, którą tutaj widzicie, kochane dziatki, przypomina wam słowa Pisma św., które brzmią: "Patrz, oto stoję przede drzwiami i pukam; kto głosu mego słucha i mi otworzy, do tego wnijdę." Te słowa szczególnie was dotyczą, które w tym roku macie szczęście przystąpić po raz pierwszy do Komunii św.



Cóż znaczą te słowa? Oto sam Jezus Chrystus stoi przede drzwiami. Pragnie On wnijść z Swą łaską do serduszka waszego i napełnić je swą świętą miłością. Teraz patrzcie, można pukać do drzwi po cichu, w długich przerwach, lub tem mocniej i raz za razem. Im kto chętniej domaga się wpuszczenia, tem silniej i mocniej zacznie pukać do drzwi.

Niezawodnie często zapraszałyście, kochane dziatki, Boskiego Zbawiciela do serc waszych, gdy nabożnie się modliłyście:

"Ciebie o Zbawco mam przyjąć za chwilę,
Tę świętość wielką, com obrażał tyle!
W Twojej dobroci łączysz się z stworzeniem,
Przyjdź Jezu drogi, czekam z utęsknieniem.".

W tych dniach wszedł albo dopiero wnijdzie Boski Zbawiciel w szczególnie sposób wspaniały do serc waszych. Pragnie On z niego zrobić żywy przybytek i nie tylko z swą łaską, lecz także sam z bóstwem i człowieczeństwem, z ciałem i duszą, pragnie tam zamieszkać. I dla tego w tym czasie mocno i natarczywie puka do waszego serduszka. Czyni to przez naukę przygotowawczą, którą wam kapłani, nauczyciele i siostry udzielali, czyni to przez liczne napomnienia, które w tym czasie odbieracie od waszych duchownych i nauczycieli, przez modlitwę, do której pilnego odmawiania oni was napominają, przez częste uczęszczanie do kościoła itd. Lecz dziatki kochane, na przyjęcie Zbawiciela powinnyście dobrze oczyścić serduszko wasze z brudów grzechowych, nie tylko z grzechów ciężkich, lecz także z najdrobniejszego pyłu. Wtedy też Bóg chętnie w niem zamieszka i błogosławić wam będzie.

Wkrótce kochane dziatki wejdziecie w świat pomiędzy ludzi. Wywieście już teraz wasz sztandar okazując wszystkim jawnie, że jesteście prawdziwymi katolikami. Pozbądźcie się wszelkiej trwożliwości, niech was nigdy wzgląd na opinię ludzką nie zdoła odwieść od wiernego wypełniania waszych obowiązków. W dniu waszej pierwszej Komunii świętej przyrzeczcie Boskiemu Gościowi niewzruszoną wiarę i wierność w każdem doświadczeniu, a jeżeli już ją przyrzekliście, dotrzymajcie wiernie tego przyrzeczenia.

NALDO.

Przekład z oryginału angielskiego.

Dokończenie.

Gdy uspokoił się trochę, myśli jego pobiegły z powrotem do cichego San Stefano i do chatki matczynej, gdzie ona — ta dobra słodka mateczka myślała o nim i modliła się za swego jedynaka, nie domyślając się nawet, że jej ukochany łkał w strasznym żalu, sam jeden wśród śniegu i ciemności. Myślał o grobie swego ojca, który śnieg pokrywał. Ale ten sam śnieg, który tworzył miękką, białą powłokę nad zieloną darnią, spadając na Naldo, przejmował go zimnem na wskroś. Czyż jednak rzeczywiście ojciec jego leżał w tym grobie? O, nie — tysiąc razy nie! Ojciec jego był w jasnym kraju, pełnym promieni słonecznych i pokoju, gdzie sam Bóg otarł wszystkie łzy jego, w tym świętym i szczęśliwym kraju, gdzie nie ma złych, a gdzie obciążony znajduje ochłodę. Naldo słyszał wiele o tym pięknym kraju i ogarnęła go wielka tęsknota. Dom matki był tak daleko — dziecku oddalenie to wydawało się nieskończonem, a dom ojca był blizko, bo ojciec jego był u Boga, a Bóg jest przecież wszędzie.

— Oh, ojcze, najdroższy ojcze! — zawołał Naldo głośno — proś Boga, abym już mógł przyjść do ciebie, och, zawołaj mię czemprędzej.

Naldo przypomniał sobie, że ojciec jego przebywał w tym błogosławionym kraju, którego królową była Madonna, wielka królowa, którą on tak bardzo kochał całe swoje krótkie jeszcze życie; w nieszczęściu i opuszczeniu swojem myślał, że może Matka Najświętsza zapomniała o nim. Ona była tak wielką i świętą, cóż to ją więc mogło obchodzić, czy on był smutny, czy też wesoły i szczęśliwy. Ale i on czy był godnym, aby iść do nieba? W tej chwili przypomniał sobie słowa, które niedawno Antoniowi powiedział: ,,Nienawidzę cię'', były to złe i brzydkie słowa, podwójnie złe i brzydkie wydawały mu się dla tego, że wyrzekł je w wigilię dnia, w którym dziecina Jezus miała się narodzić, ta dziecina cicha i pokornego serca, która na świat przyszła, aby nas nauczyć przebaczać i kochać nawet nieprzyjaciół. Czyż więc było to dobrze mówić: ,,wolę umrzeć z głodu, niż wrócić do ciebie?''

Biedny Naldo westchnął ciężko. Trudno mu było od razu przebaczyć Toniowi.

— Przebaczam mu wszystko dla miłości Jezusa — wyrzekł w końcu miękko.

Wstał, mając zamiar wrócić do Antonia i naprawić o ile możności złe wyrządzone; ale ogarnęło go jakieś dziwne uczucie — był całkiem zdrętwiały i skostniały od zimna; śnieg padał gęsty, a chłopiec był tak zmęczony, że pierwej chciał się koniecznie przespać, zanim powróci do Tonia. I znowu upadł na śnieg, zamykając strudzone oczy. Jak długo spał, nie wiadomo, ale gdy się obudził, bolała go dziwnie głowa i wydawało mu się, że widzi jakieś postacie latające, podobne do tych, które widział w dzień na wystawach sklepowych, tylko, że tamte były to zabawki albo obrazki, te zaś, lubo bardzo wielkie i do cieni podobne, przedstawiały prawdziwych ludzi. Byli tam rycerze w świecących zbrojach, dworzanie, ubrani w jedwabie i wiele innych osób, których Naldo nie mógł dokładnie rozróżnić, przy mdłem świetle gazowych latarni. Wszyscy przechodzili koło dziecka, nie zwracając nań uwagi, a i Naldo nie czuł żadnej ochoty do rozmowy z nimi, na twarzach bowiem tych dumnych panów i rycerzy nie wyczytał nic, do litości podobnego. Oczy chłopca zamknęły się znowu i usnął snem dziecka — bez marzeń.

Ale gdy chłopczyna wyciągnął zziębnięte rączki, aby uchwycić i zatrzymać anioła, anioł odleciał. Zmęczony, z bolem w

sercu, zamknął znów oczy i zapadł w sen głęboki, a śnieg padając coraz częściej, okrył wszystko swoją białą powłoką. Godzina upłynęła znowu, dzwony kościelne wygłosiły dwunastą, gdy Naldo otworzył oczy i zupełnie odzyskał przytomność. I cóż zobaczył teraz? Oto stała przed nim Najświętsza Panna, jego matka i królowa, Ta, o której sądził, że zapomniała o nim, ponieważ była tak wielką i potężną. Teraz widział, że ona była większą i potężniejszą, niż to mógł przypuścić kiedykolwiek, a serce jego uderzało jakąś świętą trwogą i zachwytem. O, jakże się cieszył teraz, że kochał ją całe swoje życie i to jedno mogło go smucić tylko, że nie kochał jej jeszcze więcej i jeszcze goręcej. W tej chwili jednak dalekim był od niego wszelki smutek; wydawało mu się, że wszystkie bole, smutki i tęsknoty minęły dawno, gdy patrzał w oblicze jaśniejące ,,Przyczyny naszej radości''.

— Naldo, przyszłam, aby cię zabrać ze sobą. Oto syn mój Jezus, woła cię do wiecznego życia, gdzie nie ma ani łez, ani smutków, ani głodu, ale szczęście bez miary, że język ludzki wypowiedzieć tego nie umie. Czy mam pokazać ci tę boską dziecinę, na widok której umrzesz ze szczęścia?

Królowa niebios rozwinęła płaszcz swój gwiaździsty, a wtedy ciszę północną przerwał okrzyk pełen nadziemskiego zachwytu i radości nieopisanej.

* *

Był ranek Bożego Narodzenia. Słońce rzucało jasne blaski na biały śnieg, głos dzwonów miły i miękki rozlegał się daleko; dzieci z wesołemi twarzyczkami witały się życzeniem ,,wesołych świąt'', radość widniała wszędzie; naraz słońce oświetliło jakiegoś chłopca, który klęczał w głębokim śniegu, twarzyczka jego, na której widać było przymarznięte łzy, blada była i bez życia, a w małej klateczce drapały się białe myszki, jakby dziwiąc się, że drobne paluszki nie prostują się i nie pieszczą ich, jak zwykle. Tak znaleziono Nalda, dobrzy ludzie wnieśli go do domu, u którego bramy umarł. — ,,Biedne dziecko" — mówili — ,,co też on musiał cierpieć''. — I rzeczywiście cierpiał; ludzie ci jednak nie domyślali się wcale, że łzy, przymarznięte na martwej twarzyczce, były łzami radości, wylanemi przez Nalda, w chwili gdy wchodził do innego, lepszego i czystszego świata, gdzie mu Matka Najświętsza pokazała syna swego.

Wszyscy żałowali dziecka o słodkiej, pięknej twarzyczce, a ojciec Niny nigdy nie miał odwagi wyznać córce, że to u bramy ich domu znaleziono Nalda bez życia.. Serduszko Niny bolało szczerze i nie mogło pocieszyć się niczem, ta myśl tylko, że Naldo cieszyłby się, iż ona jest dobrą dla jego myszek, uspokajała ją nieco.

* *

Powiecie zapewne, drogie dziatki: ,,Dla czego opowiedziano wam tak smutną powiastkę? czyż Boże Narodzenie nie jest najszczęśliwszem i najweselszem świętem? Na cóż więc zasmucać nam tę radość?'' Opowiedziałam wam tę powiastkę dla tego, bo pragnę, aby serduszka wasze były dobre dla tych, którzy są biedni i opuszczeni. Na świecie jest bardzo dużo takich Naldów; może nie są oni tak dobrzy i piękni, ale tem bardziej powinni obudzać wasze współczucie.

Podanie o skowronku.

Raz do oracza na jałowej ziemi zszedł Pan Bóg jego przyglądnąć się pracy. A rólnik dumał i w ziemię patrzał oczyma smutnemi. Stwórca zaś przed nim stanął i zapytał:

— I jakże ci się powodzi?

A on się ocknął i odrzekł:

— Źle Panie, ciężko mi dźwigać taką pracę srogą, a nie mam podczas pracy przy sobie nikogo.

I westchnął przytem żałośnie, głęboko, że miłosierny Bóg zwrócił nań oko, wziął grudkę ziemi, śmignął nią do góry, a z grudki wzlęciał ptaszek szaropióry i zatrzepotał skrzydełkami w górę i zaczął śpiewać nad rólnika głową. I odtąd w każdy pracowity dzionek witał go piosnką wesołą skowronek i latał nad nim, nad głową się wspinał i o miłosierdziu Boga przypominał.

— Śpiewaj, ptaszyno, Bogu o tej ziemi, którą do pracy budzisz tony swymi i o oraczach, co w tę ziemię czarną w znoju i trudzie zasiewają ziarno.

Siedzi ptaszek na drzewie...

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje.

Bo szukają dokoła,
Tam, gdzie nigdy nie bywa,
Pot się leje im czoła,
Cierń im stopy rozrywa...

Trwonią życia dzień jasny
Na rozterki i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale!

W nienawiści i kłótni
Wydzierają go sobie,
Aż zmęczeni i smutni,
Idą przespać się w grobie....

A więc siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo,
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie
Lecz przestrogą pogardzą!

TRZY WIŚNIE.

Legenda.

Onego czasu, gdy z uczniami swymi
Zbawiciel świata obcował na ziemi,
Idąc raz z'nimi i tocząc rozmowę,
Ujrzał na drodze złamaną podkowę.
Rzekł więc jednemu: ,,podnieś!" — lecz ten w sobie
Pomyślał: ,,co ja z tem żelaztwem zrobię?"
,,Nie warto trudu!" — i do towarzyszy
Zwróciwszy oczy, udał, że nie słyszy.

Mistrz się uśmiechnął; — bo właśnie w tę porę
Wykładał świętą, prawdziwą pokorę;
Lecz nie rzekł słowa: — i gdy ci mijali,
Sam się nachylił, podniósł — i szli dalej.

Przy drodze stała kuźnia. Mistrz wszedł do niej,
I ukazując podkowę na dłoni,
Rzekł do kowala: ,,Daj wiele chcesz za to!"
Dał grosz. Szli dalej. A było to lato
I skwar. Spotkali niewiastę: szła z koszem
Wiśni do miasta. Mistrz zaszedł jej z groszem:
,,Wiele za niego?" Dała trzy jagody. —
Szli dalej. — Kraj był piaszczysty, bez wody;
Skwar wzrastał. Wtem mistrz, niby nieumyślnie,
Przed owym uczniem rzucił jedną wiśnię.
Ten zgiął się po nią, podniósł, zjadł; — szli dalej...
A skwar się wzmaga, a pragnienie pali.
Mistrz o pokorze wciąż wiodąc rzecz długą,
Znów jak z przypadku, rzucił wiśnię drugą;
Uczeń znów zgiął się, podniósł i pomału
Ssał w ustach, tłumiąc zasuchę upału.

Szli dalej. Aż Mistrz znów jak przez przygodę
Otrząsł z łodyżki ostatnią jagodę;
Potoczyła się i zagrzebła w piasku.
Uczeń poskoczył, ale że po blasku
Dojrzeć jej nie mógł, jął macać rękoma,
I niecierpliwy, czuł jak go oskoma
Bierze. Lecz znalazł, otarł, i z pośpiechem
Już miał do ust swych włożyć, gdy z uśmiechem
Mistrz się obrócił ku niemu i rzecze:
,,Nieprawdaż? smaczne wiśnie, gdy skwar piecze;
Lecz wspominając com rzekł o pokorze,
To sobie także będziesz przypominał:
Że po podkowę raz zgiąwszy się w porze,
Trzykroć po wiśnie nie byłbyś się zginał."

A. E. Odyniec.

Pobożność i praca ludzi zbogaca.
Żyjącym dla Boga i w prostocie serca
Anioł pokoju zawsze przyświeca.